

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów
przez M. Walter

B. Felicyan tłumaczył z angielskiego

9

(Ciąg dalszy).

Z obawy, aby jej kto ze znajomych nie zobaczył, nie mogła ani słuchać spokojnie, ani patrzeć na scenę. Pościg nieznanego, który aż do mieszkani ją śledził, jeszcze bardziej podniecił zaniepokojenie. Nie miała chęci do snu; siedziała przy kominku i myślała o przyszłości, to znowu rozpamiętywała ponurą przeszłość. Dokładała do ognia drewno po drewnku, aż dotarła do dna koszyka i tu zobaczyła niedodartą gazetę. Machinalnie wzięła ją w rękę i wyczytała: „Ucieczka w dniu ślubu. Zamordowanie pana młodego przez żonę”.

Struchlała! Spogląda w zadrukowany papier, czyta, oczom nie wierzy; może to sen, złudzenie, przywidzenie. Ona posadzona o zamordowanie Arteveltda! Arteveldt zamordowany! Od owej weselnej biesiady nie czytała dzienników, nie stykała się z ludźmi, nie wiedziała nic zgoła, co się tam stało potem, gdy odeszła.

Teraz czyta szerokie opisy mordu i dowiaduje się, że ją o mord posadzają, że ją ścigają, że wyznaczono nagrodę za ujęcie zbrodniarki.

Uciekała, kryła się, ale przed mężem, przed znajomymi, kryła się też dlatego, aby dochować przysięgi umierającej matce, która jeszcze ostatnie technienia wydając, lękała się o dziecko swoje. Lękała się, aby jej nie odkrył chciwy milionowego spadku Bradmardine i życia nie pozbawił, więc zażądała przysięgi, że Leonora nie odsłoni przed nikim tajemnic rodzinnych i zachowa przybrane nazwisko.

Unikała ludzi, policji, bo jej się zdawało, że śledzą, szukają jej z ramienia prześladowcy, o którym od matki słyszała.

Teraz posadzona o tak straszną zbrodnię! Nie! to sen, złudzenie! I znowu podnosi gazetę i znowu czyta i krew się jej ścina, przed oczyma ciemno, traci siły, pada zemdlna. Kilka godzin przeżyła jakby w letargu. Zbudziła się, zaczęła skupiać energię, myśleć nad tem, co teraz począć? Iść śmiało do policji, wykazać swoją niewinność — to byłoby najlepiej. Ale przysięga złożona umierającej matce! A czy jej uwierzą? Jakże udowodni, że jest niewinna? Nie, lepiej uciekać, ukryć się daleko!

Powziąwszy takie postanowienie, chciała zwierzyć się ze wszystkim pannie Harris i wyczekiwała niecierpliwie końca nocy, bezsennie spędzonej. Nadeszła godzina poranna, w której panna Harris zwykle na lekcję przybywała. Dziś nie przyszła. Leonora niecierpliwie się wyczekuje.

Śpiewaczka spóźniła się, bo miała niezwykłego gościa.

Był to mężczyzna okazały, elegancki, z wejrzemieniem przeukliwym, ale bardzo inteligentnym. Przedstawił się, jako Sennor Castro z Kuby.

Mówił, że objął dyrekcję teatru w Hawannie, że go chce wspaniale zorganizować, że w tym celu przybywa tu, aby wyszukać najlepsze siły sceniczne.

— Oczywiście — mówił Sennor Castro — że nie tylko zdolności artystycznych, ale i odpowiedniej powierzchowności domagać się muszę od kandydatów do sceny. Osoba piękna, okazale zbudowana, mająca wiele wdzięku i dystynkcji, mogłaby liczyć na warunki bardzo korzystne. Stosunki pani, sława jej szkoły, pozwalają mi się domyślać, że mógłbym znaleźć wielką pomoc u pani w angażowaniu personelu scenicznego. Oczywiście, że gotów jestem złożyć sowitą prowizję.

Panna Harris zadowolona była z tej propozycji, obliczając korzyści. Sennor Castro zapłaci, uczennica niezawodnie też będzie wdzięczną; ale stracić za to uczennicę! Ta myśl zniewoliła ją do namysłu.

— Pomyślę nad tem, rozważę, rozpatrzę się w uczennicach, pomówię z niemi, a wieczorem dam panu odpowiedź.

Po odejściu Kubańczyka pospieszyła do Leonory i powiedziała o wszystkim. Była pewną, że Leonora chyba tylko z wielką trudnością dałaby się nakłonić do przyjęcia engagement, więc zdziwiła się niezmiernie, gdy od razu skłoniła się do tego i to z widocznym zadowoleniem.

Oczywiście, że Leonora spadała ta propozycja jak z nieba, skoro postanowiła czempredzej opuścić Chicago, ale pannie Harris żal było jakoś dla

jednorazowej prowizji postradać uczennicę, za którą później sowitego wynagrodzenia spodziewać się mogła od każdego dyrektora teatru. To też wieczorem, gdy przyszedł Sennor Castro, zbywać go zaczęła, wymawiała się tem i owem. Wtedy Kubańczyk powiedział, że zaangażuje nie tylko uczennicę ale i nauczycielkę.

— Byłoby to dla mnie prawdziwym szczęściem, gdyby pani przyjęła w moim teatrze kierunek naczelny w szkole śpiewu, opiekę nad całą wokalną częścią teatru. Honorarium gotów jestem ofiarować stanowczo większe, niż te dochody, jakie pani ma ze swej szkoły.

To przekonało pannę Harris.

Ugodę zawarto, podpisano. Sennor Castro podał ten warunek, aby obie panie zaraz nazajutrz przeniosły się do jego siostry, gdzie zbiorą się wszystkie zaangażowane osoby i razem wyjadą.

XVII.

Trucizna.

Neil Stuart zaprosił Duranda do swego mieszkania na rozmowę w sprawie bardzo poważnej. Nie zdziwił się Durand zaproszeniem, bo go na to Stuart przygotował, widząc się z nim ostatnim razem.

— Zawód mój następcza mi tysiączne sposobności spostrzegania tego, czego nie widzą inni, niech więc pana nie dziwi, że odkrywam coś takiego, co się panu wprost niemożliwym wyda — mówił Stuart.

Durand z niepokojem wysłuchał tego wstępu i nie mógł nawet niepokoju utaić.

— Niechże pan słucha spokojnie, po męsku. Jeszcze niema nieszczęścia i uniknie go pan z pewnością, posłuchawszy mej rady.

— Ależ, mnie to już przeraża! — rzekł drżącym głosem Durand.

— Powtarzam panu, że niema jeszcze żadnego nieszczęścia i właśnie po to pana zaprosiłem do siebie, abyśmy się swobodnie naradzić mogli, jak go nadal uniknąć. Czy pan mi ufa?

— Najzupełniej.

— A więc proszę z całą ufnością wysłuchać mnie i z całą szczerością udzielić mi odpowiedzi. Odkąd to panna Brown wyprowadziła się z domu państwa?

— Panna Brown? Czyżby ona coś złego?

— Ależ spokojnie. Kiedyż panna Brown opuściła swą towarzyszkę?

— Jakoś przed trzema miesiącami, na kilka dni przed wyjazdem Laury do New Jorku.

— Jak długo panua Laura w New Jorku przebywała?

— Prawie przez dwa miesiące.

— A odkąd to pańska żona choruje.

— Jakoś na tydzień przed powrotem Laury zaziębiła się bardzo i od owego czasu wciąż zapada zdrowiu.

— Radzę panu wywieźć stąd żonę natychmiast.

— A to dlaczego?

— Bo wśród tego otoczenia, w którym się znajduje i dwóch miesięcy nie dożyje.

— Co pan mówi? co to wszystko znaczy? — zawołał Durand ze zdziwieniem i wpatrzył się bystro w Stuarta.

— To znaczy, że żona pańska zażywa truciznę i na powolne zatrucie umrze.

— Paniel to wprost niemożliwe, pan się myli, to przywidzenie!

— Nie, panie Durand, nie mylę się. Weź pan ten flakonik i daj zbadać chemikowi płyn w nim zawarty, a potem wezwij pan rady lekarskiej.

— Skąd pan wzięł ten flakonik.

— Ze stolika, z pokoju pańskiej żony, właśnie wtedy, gdy ją na życzenie pana odwiedziłem.

— To jakaś straszna zagadka.

— Nie dla mnie.

— Więc to trucizna?

— Tak panie, trucizna ostra, wprost zabójcza...

— Jakże pan wie o tem?

— A toć przecież wzięwszy flakon, dałem płyn zbadać, rozebrać chemicznie. Czyż możesz pan przypuścić, abym na własny domysł pana przerażał?

— A skąd to panu wpadło na myśl, podejrzawać truciznę w pokoju mojej żony?

— Ależ to rzecz bardzo prosta. Miałem już kilka wypadków takiego powolnego zatrucia osoby, której pozbyć się chciało, bez rozgłosu, bez ścigania na siebie podejrzania. Owe osoby chorowały tak zupełnie, jak pańska żona; cierpiały wśród takich samych objawów patologicznych,

— Któż się tu dopuszcza tej zbrodni.

— O tem dowie się pan cokolwiek później; tymczasem proszę tylko mnie zostawić tego zbrodniarza.

— Boże! Boże! Jakie to straszne! — zawołał Durand, załamując ręce.

— Uspokój się pan. Potrzeba działać rozważnie i ostrożnie, a do tego spokój i zimna krew przedewszystkiem potrzebne. Tylko proszę mi ufać i czynić wszystko, co panu doradzę.

— Dysponuj pan moją osobą. Ufam panu, wdzięczny za to, żeś mnie uchronił od utraty żony.

Rozmawiali dość długo. Durand uspokoił się wreszcie, zgodził na plan dalszego postępowania, podany przez Stuarta i odszedł spokojny, ale zgnębiony, jak człowiek, który gorzkiego doznał zawodu.

* * *

W godzinę potem Stuart idąc jedną z najbardziej ożywionych ulic, spostrzegł, że jakaś kobieta zdążyła szybko, jakby się przed kimś schronić chciała. Poznał ją zaraz. Była to taż sama, na którą napadł ktoś, zranił, a Stuart przybył na pomoc i tam portfel z listami znalazł. Istotnie goił za nią elegancki mężczyzna. Stuart poznał, że to Bradmardine.

Kobieta zmęczona zwalnia kroku; wtedy Bradmardine chwyta ją za ramię i z wściekłością sy-
czy:

— Ha! wściekła babo! Mam cię wreszcie. Oddaj mi skradzione papiery!

— Nie mam ich, wtedy je ktoś zabrał.

— Kłamiesz! Oddaj złodziejko!

Zaczął się zbierać tłum ciekawych. Rozdrażniony Bradmardine zamierzył się pięścią na kobietę i już miał ją uderzyć, gdy jakiś młody, silny człowiek, wyglądający na rzemieślnika lub robotnika, chwycił go za rękę i zawołał:

— Nie pozwolę kobiecie uderzyć, wstydź się pan.

— Proszę nie wtrącać się w cudze sprawy. To złodziejka, muszę ją ująć i oddać policji.

— Ależ ja nie jestem złodziejką; to napaść — mówiła kobieta ze łzami.

W tej chwili zjawiła się i policja. Widząc eleganckiego, bogato ubranego pana, policjanci u-
wierzyli, że owa kobieta jest złodziejką i chcieli ją zabrać, wtem zjawia się Stuart i szepnąwszy coś agentowi i pokazawszy mu znak jakiś, odezwał się do prześladowcy:

— Proszę natychmiast się oddalić i tej pani dać zupełny spokój. Jeżeli pan raz jeszcze napa-
dniesz na nią, pożałujesz tego panie Bradmardine. Pani jesteś zupełnie swobodna.

Potem jeszcze dał ciche zlecenie agentowi, policyjnemu i odszedł. Policja zdążyła za ową kobietą, strzegąc jej przed ponowną napaścią, dopóki nie zniknęła z oczu prześladowcy.

Zaledwie uszedł Stuart kilka kroków, zbliżył się do niego ów robotnik, co ochronił kobietę od ciosu Bradmardina i rzekł po uprzejmym ukłonie:

— Czy pan pozwoli na krótką rozmowę?

— Czego pan sobie życzy? — odpowiedział Stuart patrząc bystro w oczy robotnikowi.

— Uściskać dłoń pańską, panie Stuart.

— Ależ ja pana nie znam.

— I ja również nie.

— A więc?

— Poznamy się teraz.

— Kto pan jesteś?

— Francis Ferrars.

— Co? pan?

— Tak, to ja.

— A cóż za spotkanie! Witam pana serdecznie na amerykańskiej ziemi. A toż to dla mnie prawdziwa przyjemność, najmielsza niespodzianka. Jeżeli pan ma czas do dyspozycji, proszę do mnie. Poznamy się, pogadamy swobodnie; pozna pan mego przyjaciela Jocellyna, sławnego pogromcę fałszerzy monet.

— Słyszałem o nim wiele.

— Zdaje mi się, żeście panowie musieli się już spotykać ze sobą.

— Nie wiem o tem.

— Ej, to pewne, bo obaj panowie ścigacie tę samą zwierzynę.

— Czy pan ma na myśli owego człowieka, którego tak energicznie odprawiałeś?

— Oczywiście.

— Uważam, że go pan także nie bardzo lubi.

— Łotr skończony.

— Więc go pan zna?

— Bardziej, niż potrzeba — rzekł z uśmiechem Stuart.